

Trwa krwawa seria zabójstw aktywistów w Kolumbii

12 lutego 2019

Władze Kolumbii, państwa, którego demokratyczne standardy raczej się w medialnym głównym nurcie nie podważa, „nie są w stanie” poradzić sobie z plagą zabójstw lokalnych liderów i lewicowych aktywistów. Od początku 2019 r. nieznani sprawcy pozbawili życia co najmniej dwudziestu. W ubiegłym roku ofiar było około setki i w zasadzie nikt za te zbrodnie nie odpowiedział.

Jak opisały lokalne media, 34-letni lokalny aktywista Jose Arquimedes Moreno został śmiertelnie postrzelony przez dwóch mężczyzn, gdy wracał do swojego wiejskiego domu pod Tibu, w prowincji Catatumbo. Sytuacja rozegrała się według typowego scenariusza – aktywista został zraniony i porzucony wprost na drodze, a sprawcy błyskawicznie odjechali na motocyklu. O świadków, których zeznania nie zostaną podważone w sądzie, będzie wyjątkowo trudno. O ile w ogóle ktoś znajdzie tyle odwagi, by angażować się w sprawę, która może kosztować życie. Catatumbo należy do najbiedniejszych i najbardziej zaniedbanych regionów Kolumbii; w bieżącym roku zaatakowano tam już trzy osoby, które w jakiś sposób starały się zmieniać tę sytuację.

Niewiele są w tym kontekście warte zarówno komentarze lokalnej policji, która przekonuje, że poświęci tej sprawie – jak i podobnym, ciągle będącym w toku – szczególną uwagę, jak i stanowisko minister spraw wewnętrznych Nancy Patricia Gutierrez w sprawie zabójstw aktywistów. „Państwo działa i robi wszystko, by zapobiec takim wypadkom i by były one wyjaśniane na czas” – powiedziała polityczka Partii Liberalnej kilka dni przed zamordowaniem Moreno, odnosząc się do poprzednich, bliźniaczo podobnych sytuacji.

Według Ośrodka Studiów nad Rozwojem i Pokojem (Indepaz) do końca stycznia 2019 r. w Kolumbii zginęło 16 przywódców i przywódczyń lokalnych społeczności. Szczególnie ryzykowne jest w kraju zasiadanie w lokalnych radach (JAC), które badają potrzeby mieszkańców danej miejscowości czy gminy i decydują o najpotrzebniejszych inwestycjach czy innych projektach służących wspólnemu dobru. To oni stają na czele oporu mieszkańców przeciwko zakusom wielkiego biznesu, gdy ten forsuje w danym miejscu inwestycję zagrażającą społeczności lub środowisku. Oni również upominają się o prawa ludności rdzennej. Niewiele trzeba, by narazili się albo prawicowym władzom, albo tolerowanym przez nie lokalnym oligarchom i przedsiębiorcom, którzy dla własnego zarobku nie wahają się działać z pogwałceniem prawa.

Oprócz członków lokalnych rad na przemoc, w tym zabójstwa, szczególnie narażeni są aktywiści dyskryminowanej mniejszości afrokolumbijskiej, osoby działające w grupach LGBT, chłopci oraz związkowcy.

W obronie zabijanych aktywistów w ubiegłym roku kilkakrotnie odbywały się w Kolumbii i za granicą pikiety solidarnościowe. Ich uczestnicy m.in. demonstrowali z zaklejonymi ustami, by pokazać, że głos obrońców praw człowieka w Kolumbii jest zagłuszany, a ich sytuacja nie staje się przedmiotem zainteresowania społeczności międzynarodowej. A przecież w ubiegłym roku tylko od stycznia do lipca zginęło 123 działaczy – później padały następne ofiary. Kolumbijska demokracja nie budzi jednak wątpliwości – Bogota jest sprawdzonym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych, który przecież nie może mieć w związku z tym problemów z praworządnością.

„Zupełna cisza społeczności międzynarodowej i mediów głównego nurtu” – trafnie skomentował sytuację włoski lewicowy publicysta Giorgio Trucchi, korespondent z Nikaragui i specjalista od Ameryki łacińskiej. „Wszyscy są tak zajęci rozdzieraniem szat nad Wenezuelą i Nikaraguą.”

Na „Twitterze” odniósł się do tragedii także Gustavo Petro, działacz socjaldemokratycznej kolumbijskiej koalicji Frente Amplio, który zajął drugie miejsce w ostatnich wyborach prezydenckich, przegrywając z liberałem Ivanem Duque. „Rząd, który przyzwala na takie rzeczy, jest współwinny morderstwa” – stwierdził, zarzucając również prezydentowi, iż ma zamiar wysłać „zatrutą pomoc” do sąsiedniej Wenezueli.

Autorstwo: MKF

Źródło: Strajk.eu